

Góralski, Wojciech

Mistrzowie i nauczyciele : wspomnienia o Profesorach Wyższego Seminarium Duchownego w Płocku z lat 1955-1961

Studia Płockie 33, 211-223

2005

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Ks. Wojciech Góralski

MISTRZOWIE I NAUCZYCIELE.

Wspomnienia o Profesorach Wyższego Seminarium Duchownego w Płocku z lat 1955-1961

I

W życiu seminaryjnym niezmiernie ważną rolę odgrywają ci, którym powierzona została piecza nad przygotowaniem kandydatów do kapłaństwa: zarówno gdy chodzi o ich formację intelektualną, jak i formację duchową. Moderatorzy i profesorowie seminaryjni, jako osoby wybrane przez biskupa diecezji do pełnienia tak delikatnej misji, nadają niewątpliwie tej *sui generis* uczelni określony ton, przesądzając zarazem o jej kształcie.

Tak się szczęśliwie złożyło, że moje pokolenie kleryckie (1955-1961) miało wspaniałych, oddanych Seminarium Duchownemu wychowawców, którzy potrafili nie tylko przekazywać potrzebną nam wiedzę filozoficzną i teologiczną, lecz także zaszcześcić w młodych umysłach i sercach szlachetne ideały związane z rzeczywistnianiem powołania kapłańskiego. Ilekroć wspomina się coraz bardziej odległe lata seminaryjne (księża lubią je przy różnych okazjach wspominać), tylekroć przywołuje się sylwetki naszych opiekunów i przewodników w drodze do kapłaństwa.

Muszę wyznać, że od dawna już „przymierzałem się” do napisania wspomnień o swoich seminaryjnych wychowawcach, którym tak dużo zawdzięczam. Na bardziej „genialny” pomysł wpadł tutaj ks. prof. Ireneusz Mroczkowski, podejmując przed laty inicjatywę przygotowania przez aktualnych profesorów WSD większego opracowania poświęconego pamięci nieżyjących już, a zmarłych po 1965 roku, naszych moderatorów i profesorów. Zamysł ten, który spotkał się u nas z dużym uznaniem, został zrealizowany, kiedy to w 2001 roku, nakładem Płockiego Instytutu Wydawniczego, ukazało się 558. stronicowe, efektownie wydane dzieło pod znamienym tytułem: „*Mistrzowie i nauczyciele. Profesorowie Seminarium Duchownego w Płocku 1965-2000*”. Bo też nasi poprzednicy na katedrach seminaryjnych okazali się nie tylko nauczycielami, ale i mistrzami.

Przywołując tutaj sylwetki moich moderatorów i profesorów (tylko dwóch spośród nich pozostało przy życiu), pragnę oddać im należyty hołd. Zachowuję ich wszystkich w jakże wdzięcznej pamięci i sercu. To oni, przekazując mi swoją głęboką wiedzę, uczyli mnie jednocześnie wiary, miłości Kościoła, rozumienia innego człowieka, niezbędnej w życiu dyscypliny. To im – prawdziwym Mistrzom i Nauczycielom – zawdzięczam kształt mojego kapłaństwa.

II

Wśród moderatorów seminaryjnych mojego pokolenia naczelne miejsce zajmuje **ks. prof. Wacław Jezusek** (1896-1982), rektor (przez cały okres moich lat kleryckich), doktor prawa kanonicznego, prawdziwa „legenda” (nie tylko w życiu plockiego WSD). Żywa wiara, duch modlitwy, autentyczna asceza (czyniąca zeń abnegata), oddanie bez reszty Kościołowi, niezwykła gorliwość, niedościgną pracowitość, umiłowanie dyscypliny, ujmująca prostota dostojnika kościelnego (prałat, a następnie protonotariusz apostolski), surowość, za którą kryła się duża wrażliwość, zbytnia niekiedy impulsywność łagodzona jednak natychmiastową refleksją – to tylko niektóre z rozlicznych cech naszego „regensa”, którymi nam imponował. Kierując seminarium w bardzo trudnych czasach zniewolenia komunistycznego, potrafił skutecznie bronić tę instytucję przed wielorakimi niebezpieczeństwami płynącymi zarówno od „zewnątrz”, jak i od „wewnątrz”. Zatraskany o los „serca diecezji” nie szczędził największych wysiłków i zabiegów, by alumni mogli spokojnie sposobić się do kapłaństwa. I jakkolwiek nasz rektor, swoimi wysokimi wymaganiami, reakcjami, niekiedy i uprzedzeniami, nie „podbijał” specjalnie serc seminarzystów, to jednak wystarczająco wyczuwali oni, że za tym wszystkim kryje się dbałość o dyscyplinę przyszłych kapłanów. Wszyscy też dobrze wiedzieli, że ilekroć kleryk znajdzie się w szczególnie trudnej sytuacji finansowej albo zostanie dotknięty jakąś poważną chorobą, ks. rektor okaże mu prawdziwie ojcowskie serce.

Jako profesor prawa kanonicznego, ks. Jezusek imponował mi zarówno swoją rozległą znajomością tej dyscypliny, jak i żywym, nacechowanym ogromną ekspresją, sposobem prowadzenia wykładu. Stojąc na katederze sali wykładowej nr 1, ten wychowanek rzymskiego uniwersytetu „Apollinaris”, z ogromną pasją, operując przeróżnymi przykładami, przekonująco wyjaśniał mniej lub bardziej zawile kwestie. Niezmiernie ważne było i to, że wykładając uczył nas umiłowania Kościoła, właściwej postawy kapłańskiej i duszpasterskiej. Dobra zaś znajomość historii diecezji u profesora inspirowała go do zapoznawania nas z bogatym dziedzictwem duchowym wniesionym do „skarbcza” Kościoła Plockiego przez kapłanów poprzednich pokoleń, a w szczególności przez męczenników okresu drugiej wojny światowej z arcybiskupem Antonim Julianem Nowowiejskim i jego biskupem pomocniczym Leonem Wetmańskim na czele (dziś błogosławionymi). Wykłady ks. Jezuska przypadły mi do gustu od samego początku, i to dzięki nim prawo kanoniczne stało się moją prawdziwą „miłością”. Mniej natomiast zachwycali mnie prowadzone przez „regensa” zajęcia z liturgiki.

Zastępcą ks. rektora (w nazewnictwie seminaryjnym to wicerektor) był najpierw **ks. prof. Edmund Szewczak** (1911-1973), licencjat teologii (po przerwanych wybuchem wojny studiach rzymskich). Sprawując swój urząd do 1958 roku dał się poznać jako wychowawca bardzo życzliwy klerykom, umiejący odróżniać sprawy ważne od mniej ważnych, dyskretny, dowcipny, skromny w obejściu, oddany seminarium. Miał doskonały kontakt z nami, potrafił z każdym znaleźć wspólny język. Bardzo interesująco prowadził wykłady z historii Kościoła, ujawniając dużą erudycję.

Od 1957 roku, gdy rozpoczynałem trzeci rok studiów, wicerektorem został **ks. prof. Konrad Gąsiorowski** (1914-1982), doktor teologii, (specjalista w zakresie nauk biblijnych), wychowanek „Gregoriany”, a następnie KUL. To postać niezwykła – kapłan o prostej i dziecięcej wprost wierze i pobożności, niespotykanej prawości i prostolinijności, autentycznej pokorze, wyjątkowej, benedyktyńskiej pracowitości, systematyczności i obowiązkowości, wysokim poczuciu sprawiedliwości, ujmującej pogodzie ducha. Wymagał od nas bardzo dużo, był stróżem dyscypliny seminaryjnej, porządku i ładu. Wiedzieliśmy dobrze, że stawianie nam wysokiej „poprzeczki” płynie wyłącznie ze szczerego pragnienia wdrożenia nas do karności, tak potrzebnej w kapłaństwie. Budował nas przykładem swojej głębokiej duchowości, prostotą i życzliwością, niedościgłą gorliwością.

Ks. Gąsiorowski wykladał introdukcję biblijną, Nowy Testament, liturgikę (tylko w jednym semestrze), a ponadto prowadził lektoraty: z języka hebrajskiego i z języka greckiego. Jego zajęcia były bardzo starannie przygotowane, prowadzone bardzo jasno i przejrzysto, od czasu do czasu „okraszone” barwnymi, uprzednio „opracowanymi”, niepozabawionymi dowcipu, przykładami. Egzaminy i kolokwia składane u ks. profesora należały do najtrudniejszych: nigdy nie „przepuszczał” bez rzetelnej wiedzy, którą potrafił umiejętnie zweryfikować. Słynne były „dopowiedzenia” w ogrodzie seminaryjnym takiego czy innego szczegółu, którego student nie pamiętał podczas egzaminu czy kolokwium, ocenionego – w sumie – pozytywnie. Jako bibliista, wpajał w nas zamiłowanie do Pisma Świętego, w którym sam był autentycznie rozmiłowany. Podobało się nam u profesora i to, że udzielał się duszpastersko.

Pozostawił też po sobie nasz dawny wicerektor budujące wspomnienie z okresu ciężkiej choroby, jaka dotknęła go w ostatnich latach życia, a którą jakże godnie znosił. Nie ma kapłana w diecezji płockiej, który by nie wyrażał się z ogromnym szacunkiem o przedwcześnie zmarłym wychowawcy i profesorze.

Moderatorem „wewnętrzny”, a więc ojcem duchownym, w moich czasach kleryckich był najpierw **ks. Kazimierz Dąbrowski**, jezuita (1890-1976). Wprawdzie tylko jeden semestr pozostawałem pod jego duchową pieczę, lecz dobrze zapamiętałem go – jako wychowawcę bardzo światłego, oryginalnego w swoich konferencjach i medytacjach prowadzonych dla alumnów, przyjacielsko nastawionego do każdego, niezwykle pogodnego, emanującego dobrocią, a przy tym błyskotliwego. Ojciec Dąbrowski (dawny kapłan diecezjalny) cieszył się wśród nas nie tylko ogromnym autorytetem, lecz również prawdziwą sympatią. Doskonale pamiętam, jak w przerwach między wykładami skupiał wokół siebie „gromady” starszych kolegów, którzy raz po raz wybuchali salwami śmiechu.

Sięgając do swoich „zapisków duchowych” z pierwszych tygodni mojego pobytu w seminarium, pod datą 21 września 1955 roku znajduję następujący fragment pochodzący z rozmyślania przeprowadzonego przez naszego kierownika duchowego w kaplicy WSD: *„Pan Jezus zmusza nas niekiedy do wniknięcia w siebie. Należy wtedy wprowadzić krótką kontrolę siebie. Najlepiej uczynić to w czasie modlitwy. W takich chwilach trzeba uchwycić pierwszą myśl, która przyszła. Czas na to powinien znaleźć się zawsze. Refleksje takie są konieczne w życiu kapłańskim. Trzeba wejrzeć w siebie i pomyśleć, co mną kieruje”*. Właśnie stałe odniesienia do życia kapłańskiego oraz praktyczny wymiar wskazań ojca stanowiły, jak pamiętam, bardzo charakterystyczną cechę jego szeroko rozumianego nauczania.

Gdy na przełomie semestrów roku akademickiego 1955/56 przyszło nam żegnać w kaplicy o. Dąbrowskiego, życi z nim starsi koledzy rozstawali się z nim z nieukrywanym wzruszeniem. Do dzisiaj, starsze pokolenie kapłanów wspomina swojego ojca duchownego z największym szacunkiem i wdzięcznością za otrzymaną formację duchową.

Nowego ojca duchownego – w osobie **ks. dr. Jana Wosińskiego** (1914-1996) – witaliśmy w drugim semestrze. Ten wychowanek KUL, moralista, pozostał moim kierownikiem duchowym aż do ukończenia seminarium. W semestrze tym był jednocześnie naszym wykładowcą propedeutyki teologii. Styl jego „ojcowania”, co nawet nasz kurs zdołał od razu dostrzec (nie mówiąc o kolegach ze starszych roczników), dość znacznie różnił się od sposobu pełnienia tej funkcji przez o. Dąbrowskiego. Zawsze poważny i dość surowy w swoim wyglądzie, pryncypialny i bardzo wymagający, bynajmniej nie wdający się w rozmowy z klerykami na korytarzach, nowy ojciec duchowny nie spotkał się od razu z jednoznaczną akceptacją tych ostatnich. Stopniowo jednak, z roku na rok, dzięki swemu zaangażowaniu w tę niełatwą posługę znajdował u nich coraz większe uznanie. Dostrzeżliśmy w nim głęboką wiedzę, osobistą ascezę i rozmodlenie, usilną wolę kształtowania w nas ideałów kapłańskich. O. Wosiński, nie mówiąc zbyt porywająco, dał się jednak poznać jako doskonały rekolekcjonista, konferencjonista i spowiednik. Jego przemówienia, starannie przygotowane, zawsze były pełne treści, wypowiedziane bardzo poprawnym językiem, skłaniające do refleksji. Zawierały przy tym określone wymagania, niekiedy trudne, za każdym jednak razem przekonująco przedstawione. Również prowadzone przez ojca – w każdym semestrze – z poszczególnymi seminarzystami rozmowy indywidualne („pod palmą”) stanowiły dużą pomoc w naszym dojrzewaniu do kapłaństwa. Zarówno wspólne rozmyślania, jak i miesięczne dni skupienia czy rekolekcje – na początku roku akademickiego czy przed poszczególnymi święczeniami – podporządkowane były, każdego roku, szerszemu, rocznemu planowi formacyjnemu, który prezentował nam odpowiednio wcześniej z całą wyrazistością.

W swoim przygotowaniu do kapłaństwa zawdzięczam ojcu Wosińskiemu bardzo wiele. Jego styl oddziaływania, a i łatwo dostrzegalne zatroskanie o poziom życia wewnętrznego przyszłych kapłanów przemawiały do mnie od samego początku. Bardzo ceniłem sobie każdą odbytą z nim rozmowę semestralną – była to

zawsze rozmowa „męska”. I choć moim spowiednikiem był cały czas ks. Roman Fronczak, to niemniej jednak owe spotkania w mieszkaniu ojca duchownego (obok kaplicy) miały coś i ze spowiedzi. W każdym razie ogromnie dużo z nich wyniosłem, jak i ze wszystkich pozostałych form ojcowskiego oddziaływania na nas. Nie mam najmniejszej wątpliwości, że w moim dorastaniu do święceń, ogromną rolę odegrał ojciec duchowny. Koledzy seminaryjni z mojego pokolenia mają z reguły takie same odczucia.

III

Naszą formacją intelektualną „trudnili się” nasi seminaryjni profesorowie. Dwa lata były poświęcone przygotowaniu filozoficznemu, kolejne zaś cztery – studiom teologicznym. W sumie sześć lat zdobywania i pogłębiania wiedzy w zupełnie nowych jej dziedzinach okazało się czymś niesłychanie ważnym w przygotowaniu do przyszłej posługi. To, że potrafiliśmy przyswoić sobie określoną porcję wiadomości w obydwu dyscyplinach, pozostaje niewątpliwą zasługą tych, których Opatrzność, posługując się władzą diecezjalną, postawiła na drodze naszego seminaryjnego życia.

Osobą, z którą już pierwszokursista musiał zetknąć się w sali wykładowej, był **ks. prof. Marcei Molski** (1914-1990), dr filozofii, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, nauczyciel akademicki także w tymże uniwersytecie, a od 1954 roku – w Akademii Teologii Katolickiej. Był wykładowcą szeregu przedmiotów filozoficznych, m.in. logiki, metodologii nauk, wstępu do filozofii, psychologii filozoficznej, historii filozofii. Imponujący erudycją (w różnych dziedzinach) i jasnością przekazu (nie tylko w wykładzie), prowadził zajęcia, mówiąc cichym, słabym głosem, chodząc po sali, rzadziej siedząc na katederze. Swoim studentom stawiał bardzo wysokie wymagania, pragnął jednak, jak to podkreślał, byśmy nauczyli się myśleć. Nic też dziwnego, że w ocenach podczas kolokwium czy egzaminów był niezwykle oszczędny. „Na filozofii” siał profesor powszechny postrach, a egzamin tzw. rygorozalny (na zakończenie drugiego roku), stanowiący swoisty *Rubikon* studiów seminaryjnych, pozostał w pamięci niejednego z nas do dzisiaj. Poza własnym rygorozum, nie zapomnę egzaminu na pierwszym roku (21 stycznia 1956 roku) z psychologii filozoficznej (w gmachu biblioteki), kiedy to więcej niż jedna trzecia naszego kursu została „oddalona”. Wielu powtarzało po wielokroć kolokwia, a co charakterystyczne: profesor miał zawsze czas dla „poprawkowiczów” (jeden z kolegów składał kolokwium ze wstępu do filozofii kilkanaście razy). Jak można było wyczuć, darzył nas w rzeczywistości sympatią, choć niejednokrotnie nieco skrywaną.

Znany z błyskotliwego dowcipu i pogody ducha, słynął też ks. prof. Molski z wielu barwnych opowiadań ilustrujących treści wykładów lub ćwiczeń, którymi to fragmentami zajęć potrafił szczerze rozbawić słuchaczy, zachowując przy tym pełną powagę (niekiedy tylko z lekka się uśmiechając). Bohaterem każdego takiego opowiadania musiał być koniecznie „alumn”. Bardzo poważnie traktował

swoich seminarzystów, do których należałem (było nas zaledwie pięciu). Nie zapomnę bardzo „uczony”, a jednocześnie jakże miłej atmosfery tych seminariów.

W latach studiów filozoficznych zajęcia prowadził z nami także **ks. prof. Roman Berliński** (1909-1969), wychowanek rzymskiego „Gregorianum”, doktor filozofii i teologii. Wykładał m.in. etykę i ontologię, przede wszystkim jednak prowadził zajęcia na kursach teologicznych: z teologii dogmatycznej i z apologetyki. Szeroka wiedza i odczytanie, głęboki humanizm, wysoka kultura i wręcz wytworony styl bycia przysparzały mu wielu admiratorów, do których i ja należałem. Osobę ks. profesora wiąże przy tym bardziej z teologią niż z filozofią. Zachwycałem się szczególnie wykładami prowadzonymi przezeń – od IV do VI roku studiów – z dogmatyki. Ten jeden z wiodących przedmiotów w strukturze studiów teologicznych traktowałem, niewątpliwie za sprawą profesora, jako coś wręcz fundamentalnego. Jestem Bogu wdzięczny za to, że postawił na mojej drodze życia seminarijnego kapłana, który wykładając treści będące przedmiotem wiary czynił to z dużym zaangażowaniem religijnym. Jego wykłady przybierały często charakter konferencji. Nie waham się powiedzieć, że dogmatyka studiowana u ks. profesora kształtowała moją wiarę. Do dziś przechowuję kilka zeszytów z notatkami z tamtych zajęć, do których to „źródeł” sięgałem niejednokrotnie we wczesnych latach kapłaństwa, szczególnie gdy chodziło o przygotowanie kazania katechizmowego.

Ks. prof. Piotr Szefler (1909-1974), doktor teologii (specjalista w zakresie Starego Testamentu), wychowanek rzymskiego „Biblicum” i „Gregorianum”, objął zajęcia w WSD (powracając z Wielkiej Brytanii, gdzie pełnił posługę duszpasterską), gdy byłem już na roku czwartym (1958 r.). Słuchałem jego wykładów z zakresu egzegezy Starego Testamentu. Choć zajęcia te nie były może aż tak porywające, to urzekał mnie sam wykładowca. Ten kapłan emanujący dobrocią, trwający w postawie dziecka Bożego, przepojony na wskroś duchem ewangelicznym, pełen prostoty i pokory, pociągał nas wszystkich zamilowaniem do duszpasterstwa, w którym zresztą tkwił uprzednio. W relacjach z klerykami był bardzo bezpośredni i serdeczny, do wszystkich potrafił być przyjaźnie nastawiony. Znacznie później, bo w 1974 roku, rozstając się z życiem (w wieku 65 lat) dał przykład autentycznej wiary chrześcijańskiej, pragnąc raczej odejścia do wieczności, niż pozostawania na ziemi.

Teologię moralną oraz katolicką naukę społeczną wykładał **ks. prof. Zdzisław Piechna** (1909-1984), doktor prawa kanonicznego, absolwent Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego, pełniąc zarazem urząd kanclerza Kurii Diecezjalnej. Znakomity kanonista – teoretyk i praktyk, potrafił również bardzo jasno przedstawiać zawile niekiedy kwestie dyscypliny również normatywnej, jaką jest teologia moralna. Wykłady ks. profesora, łączone dla roku IV, V i VI, gromadziły w sali nr 1 sporą ilość słuchaczy, którym – z katederki – raz po raz, odrywając wzrok od „Noldina”, znacząco się przyglądał. Niejednokrotnie rzucał przy tym jakieś pytanie lub wypowiadał zwykle stwierdzenie, co bardziej śmiałym alumnom dawało asumpt do podjęcia z wykładowcą zabarwionego subtelnym dowcipem dialogu. Stwarzało to w sumie miły klimat, co uznawaliśmy za zasługę profesora. Tylko

jeden raz tego rodzaju dygresja zakończyła się niezwykle poważnie, kiedy to młodszy kolega, w najlepszej zapewne wierze, skierował do wykładowcy nienajszczęśliwiej sformułowane pytanie (lub stwierdzenie) dotyczące relikwii świętych. Uznając tę wypowiedź za niejednoznaczną, sympatycznie uśmiechnięty ks. Piechna nagle spoważniał, wyjął z górnej (wewnętrznej) kieszeni sutanny mały relikwiarzyk z relikwiami św. Piusa X (otrzymał je w Rzymie w latach studiów), po czym zwięźle i z całym przekonaniem przypomniał nam naukę Kościoła o czci okazywanej relikwiom świętych.

Jako zajmujący się od lat kanonicznym prawem małżeńskim, jestem wdzięczny ks. prof. Piechnie, że wykładając traktat „De matrimonio”, (byłem wówczas na V roku) uwzględnił przede wszystkim wymiar prawny instytucji małżeństwa (według podręcznika S. Biskupskiego), co bardzo przypadło mi do gustu (otrzymałem też „bardzo dobry” na egzaminie). To właśnie zdobyte wówczas wiadomości w tym zakresie stanowiły dla mnie doskonały punkt wyjścia podczas dalszych studiów.

Ks. prof. Lech Grabowski (1908-1993), więzień obozu w Dachau, doktor filozofii, absolwent Instytutu Katolickiego w Paryżu, powróciwszy w 1959 roku do Polski (z Francji), prowadził w nami zajęcia z historii sztuki na roku szóstym (na innych kursach wykładał także religioznawstwo, historię filozofii i psychologię eksperymentalną), kierując jednocześnie Muzeum Diecezjalnym. Wspaniały, pogłębiony duchowo kapłan, znakomity znawca historii sztuki, uosobienie elegancji pod każdym względem, odkrywał przed nami nieznaną nam „tajemniczy” świat sztuki, nie tylko sakralnej, ukazując prawdziwe piękno w każdym jego wymiarze. Znaczące było także oddziaływanie duchowe profesora na nas, jako seminarzystów. To, że bardzo sobie cenił kapłaństwo i że bardzo je kochał, widać było od samego początku jego pojawienia się w seminarium. Pielęgnując bardzo starannie życie wewnętrzne (wynika to m.in. z jego pism), promieniował profesor żywą wiarą i autentycznym uduchowieniem. Swoją postawą, a niekiedy i słowem, uczył nas właśnie kapłaństwa, wartości Mszy świętej, szacunku dla innego człowieka.

Gdy pracując już w seminarium dane mi było pozostawać w bliższych relacjach z ks. Grabowskim, otrzymałem jednoznaczne potwierdzenie tego wszystkiego, co pociągało mnie w jego postawie w okresie kleryckim. Bez cienia przesady mogę powiedzieć, że styl urzeczywistniania przez niego własnego kapłaństwa był mi pomocą w kształtowaniu mojego.

Bp prof. Piotr Dudziec (1906-1970), magister teologii (stopień ten uzyskał w Uniwersytecie im. Jana Kazimierza we Lwowie), wikariusz generalny biskupa płockiego i prepozyt kapituły katedralnej, był moim wykładowcą teologii pastoralnej. Zapisał się w mojej pamięci jako profesor, który – poza wiedzą teoretyczną – przekazał nam wiele praktycznych wskazań, zwracając baczną uwagę na dokładną znajomość zasad prowadzenia różnych agend duszpasterskich. Za ważny rekwizyt studenta uważał notatnik z wykładów, którego prowadzenie było niekiedy nawet kontrolowane, czego sam bezpośrednio doświadczyłem. Wiele miejsca poświęcał w swoich wykładach akcji antyalkoholowej, ostro widząc nabrzmiały problem szerzącego się alkoholizmu.

Pełen dostojęstwa i elegancji hierarcha, o siwych, starannie zaczesanych włosach, pogodny wewnętrznie i dowcipny, dał się poznać nam, seminarzystom, jako człowiek głębokiej i żywej wiary, zatroskany o dobro Kościoła duszpasterz, dbający o piękno liturgii celebrans Mszy świętych pontyfikalnych (sprawowanych w katedrze). Gdy w latach późniejszych poznam jeszcze lepiej biskupa Piotra, zauważę, jak bardzo ważną rolę odegrał w jego życiu Sobór Watykański II, którego był ojcem (uczestniczył w trzeciej sesji).

Wspominany już wyżej **ks. prof. Roman Fronczak** (1894-1969), rektor kościoła św. Dominika w Płocku, prowadził zajęcia z katechetyki. Jako długoletni, znakomity prefekt Liceum Ogólnokształcącego im. Marsz. Stanisława Małachowskiego, potrafił umiejętnie wdrażać nas do przyszłej pracy katechetycznej. Ta filigranowa postać znanego wszystkim w mieście kapłana, zjawiająca się w seminarium, budziła powszechny szacunek. Na ks. Fronczaka patrzyliśmy jako na kogoś „z wewnątrz”, a jednocześnie jako na tego, który jest mocno zakorzeniony w życiu WSD (był tutaj także spowiednikiem). Jawił się więc w naszych oczach równocześnie jako duszpasterz „na górkach”, prefekt szkolny, spowiednik seminaryjny i nasz profesor. W sumie „odbieraliśmy” go przede wszystkim jako wielkiego formatu kapłana. Jako zaprzyjaźniony z moim szkolnym prefektem, podczas każdego ferii i wakacji kłeryckich udawałem się bardzo często do księdza kanonika (potem pralata), by podbudować się wewnętrznie, „otrzeć się” o jego kapłaństwo, porozmawiać z nim o sprawach dla mnie żywotnych, ale też i tych prozaicznych. Mądrość bowiem, jeśli tak można powiedzieć, tego urodzonego kapłana – pedagoga polegała i na tym, że potrafił mówić o sprawach tak wielkich i wzniosłych, jak i tych bardzo przyziemnych.

Homiletykę wykladał najpierw (na roku czwartym) **ks. prof. Leon Pomaski** (1883-1963), absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, doktor prawa kanonicznego, niegdyś dyrektor Prywatnego Gimnazjum Męskiego w Sierpcu. Ten kapłan niezwykle prawości, szlachetności, pogody ducha i pobożności, niegdyś znakomity kaznodzieja, zapoznawał nas zarówno z teorią sztuki kaznodziejskiej, jak i z praktyczną stroną głoszenia kazań. Rozpoczął zajęcia od spraw wręcz bardzo podstawowych, wyjaśniając m.in. czym jest... krtań (słynne, wypowiedane żartobliwym tonem zdanie: „Krtąń jest to rura..., która...”). Z uwagi na zaawansowany wiek, ks. profesor przeszedł wkrótce na emeryturę (pozostając w seminarium).

Ks. prof. Józef Góralski (1900-1992), wychowanek Uniwersytetu Warszawskiego, magister nauk humanistycznych, wybitny polonista i długoletni nauczyciel języka polskiego w płockim Niższym Seminarium Duchownym i dyrektor tej szkoły, prowadził zajęcia z homiletyki, gdy byliśmy na piątym roku studiów. Ucząc nas umiejętności kaznodziejskich zwracał pilnie uwagę zarówno na treść wystąpienia (z ambony) przyszłych duszpasterzy, jak i na ich formę. Każde kazanie, które miało być przez kogoś z alumnów głoszone (z reguły podczas tzw. niedziel kapłańskich), podlegało sprawdzeniu przez profesora. Ks. dyrektor Góralski imponował nam nie tylko swoją rozległą wiedzą humanistyczną, lecz także ogromną kulturą, życzliwością wobec studentów oraz swoim zrównoważeniem. Mile

wspominam także lata późniejsze, w których dane mi było siedzieć w refektarzu profesorskim *vis à vis* mojego „styryja” (nie byliśmy krewnymi) i słuchać jego interesujących komentarzy na temat literatury współczesnej, teatru, filmu czy programu telewizyjnego.

Ks. prof. Seweryn Wyczakowski (1905-1986), absolwent Uniwersytetu Katolickiego w Lowanium, licencjat filozofii, wikariusz, a od 1958 roku proboszcz parafii św. Bartłomieja w Płocku, wspomniany już wcześniej, to postać powszechnie znana w naszym mieście. Jako duszpasterzowi i wykładowcy seminaryjnemu w jednej osobie, niełatwo mu było łączyć obowiązki związane z obydwoma funkcjami (uczył ponadto języka francuskiego w Niższym Seminarium Duchownym). Nietrudno było zauważyć, iż priorytetem dla „monsieur” pozostawała „fara” (parafia obejmowała połowę mieszkańców Płocka).

Na pierwszym roku studiów prowadził z nami ks. profesor lektorat języka francuskiego (doskonale nim władał), na roku zaś drugim roku wykładał pedagogikę i psychologię eksperymentalną. Lektorat ubogacał wiadomościami o Francji i jej kulturze, niekiedy przynosił na zajęcia gazety i magazyny wydawane w języku francuskim. W wykładzie posługiwał się częściowo podręcznikami akademickimi francuskimi oraz polskimi. Sprawdziany i egzaminy nie były u profesora trudne, choć potrafił niekiedy studenta zawstydić, że nie zna... francuskiego. Bezpośredni i miły w obejściu, zawsze elegancki w sposobie bycia, błyskotliwy, dowcipny i każdemu przyjazny, zyskał sobie u alumnów sympatię i uznanie.

Jako parafianin ks. Wyczakowskiego, pozostawałem z nim w bliższych relacjach, co szczególnie uwidaczniało się podczas wakacji i ferii. Obdarzał mnie zawsze prawdziwą życzliwością, ciesząc się, że jestem w seminarium. Mile wspominał każdą wizytę na plebanii. Przede wszystkim jednak pochylał się nad stylem sprawowania przez „kanonika” (potem prałata) wielorakiej posługi duszpasterskiej.

Naszym wykładowcą w pierwszym semestrze pierwszego roku studiów był **ks. prof. Ignacy Marciniak** (1897-1960), absolwent Uniwersytetu w Lille, magister nauk przyrodniczych, dyrektor Niższego Seminarium Duchownego. Wykładając wybrane zagadnienia z biologii, ten zacy, pełen dobroci, pobożności, skromności i prostoty kapłan, koncentrował swoją uwagę, jak dobrze pamiętam, przede wszystkim wokół zagadnień dotyczących powiązania w człowieku sfery fizycznej ze sferą duchową. Zapoznawał nas dość szczegółowo z budową mózgu człowieka, wpajał zasady higieny psychicznej, akcentował potrzebę rozsądnego łączenia pracy umysłowej z wysiłkiem fizycznym. Gdy chodzi o ten ostatni wątek, to sam zresztą dawał dobry przykład, po zajęciach bowiem dydaktycznych bardzo często można go było widzieć w ogrodzie seminaryjnym, gdzie na specjalnie wydzielonym skrawku ziemi pielęgnował swoje, jak mawiał, „roślinki”.

Ks. kanonik Marciniak jawi się w mojej pamięci także jako bardzo gorliwy kapłan, promieniujący wewnętrzną radością. Nie zapomnę nigdy kazania, jakie wygłosił w katedrze podczas uroczystości Wniebowstąpienia Pańskiego w 1959 roku. Siedząc wraz z innymi klerykami *vis à vis* ambony, wpatrzony w filigranową postać kaznodziei, głęboko przeżywałem to, co z taką wiarą i przekonaniem mówił na temat potrzeby „odrywania się od ziemi”.

Ks. prof. Jan Radomski (1903-1977), wychowanek Uniwersytetu Warszawskiego, magister filologii klasycznej, uczący łaciny także w Niższym Seminarium Duchownym, prowadził u nas, na pierwszym i drugim roku studiów, zajęcia z języka łacińskiego. Zewnętrznie surowy i groźny (wyczuwaliśmy jednak za tą pozą życzliwe i wrażliwe serce), systematyczny w swojej pracy, wymagający, udzielający niekiedy ostrych reprimend nieprzygotowanym do ćwiczeń, pragnął jak najwięcej nauczyć, a także wzbudzić w nas zamiłowanie do łaciny. Trzeba przyznać, że w wielu przypadkach udało mu się to znakomicie. Osobiście, polubiwszy tej piękny język już w „Małachowiance”, znalazłem wówczas najlepszą sposobność do pogłębiania jego znajomości. Zarówno uczniowie Niższego Seminarium Duchownego, jak i alumni WSD wspominają „magistra” jak najlepiej – zarówno jako dobrego nauczyciela, jak i człowieka o prawdziwej dobroci serca.

Na czwartym kursie łaciny uczył mnie nie **ks. prof. Stanisław Kutniewski** (1926-1996), absolwent Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, magister filologii klasycznej, późniejszy proboszcz (w Płocku i w Mławie). Pełen energii i gorliwości, „zapalony” do łaciny, młody profesor bardzo konsekwentnie realizował program, przewidujący na wspomnianym roku studiów ćwiczenia z łaciny kościelnej (według podręcznika Leokadii Małunowiczówny, której był studentem). Poza zapoznawaniem nas z bieżącym materiałem, profesor obciążył nas przetłumaczeniem psalterza łacińskiego na język polski, a konkretnie psalmów brewiarzowych. Do dzisiaj przechowuję notes, do którego sukcesywnie zacząłem wpisywać nieznane mi (do końca) słówka łacińskie psalmów, a obok – ich znaczenie polskie. Pomysł profesora był znakomity, dzięki niemu bowiem miałem pod koniec roku akademickiego gotowy słownik do psalterza. Odmawiając brewiarz, posługiwałem się tą pomocą przez dłuższy okres czasu, aż zapamiętałem znaczenie wszystkich słów poszczególnych psalmów (trudniej „szło” z hymnami).

Ks. profesora bardzo lubiliśmy za jego aktywność, bezpośredniość, sytuacyjny dowcip, wrodzony optymizm, życzliwość dla nas, czy sympatyczne opowiadania i pouczające stwierdzenia (zaczynające się najczęściej od słów: „Bracie kochany”). Po latach współpracowaliśmy zarówno w seminarium, jak i w parafii św. Jana Chrzciciela w Płocku. Poznałem wówczas jeszcze lepiej kapłańską gorliwość ks. kanonika, a potem prałata, Kutniewskiego.

Ks. prof. Kazimierz Starościński (1899-1959), wychowanek Papieskiej Akademii św. Cecylii w Rzymie, magister muzyki kościelnej, był moim profesorem śpiewu. Ten człowiek o niezwykłym polocie, wybitny muzykolog i kompozytor (autor m.in. hejnału Płocka), zawsze żywy i aktywny, niepamiętający o sobie kapłan, proboszcz w Białej, a potem w Ciachcinie, prowadził z nami zajęcia z muzykologii i chorału gregoriańskiego. Jak „przystało” na prawdziwego dydaktyka w zakresie muzyki, szybko się denerwował każdą fałszywą nutą, natychmiast reagując na niewybaczalny błąd gromkim wykrzyknieniem: „*sapristi...!*”. Uroczy w sposobie bycia, potrafiący bardzo interesująco opowiadać różne historie życia, bezpośredni i życzliwy dla uczniów, zaskarbił sobie serca tych ostatnich.

Odrębnym „rozdziałem” w posłudze seminaryjnej ks. profesora było prowadzenie chóru, do którego miałem przyjemność trzy lata należeć (zakwalifikowany

do barytonów). Śpiewaliśmy głównie w katedrze podczas różnych uroczystości, wykonując zarówno śpiew gregoriański, jak i polifoniczny. Bardzo miłe wspominał liczne próby naszego zespołu, podczas których nasz dyrygent ujawniał niemałe zasoby energii. Potrafił też ks. Starościński twórczo improwizować. Gdy tuż przed uroczystością Chrystusa Króla w 1957 (lub w 1958) roku zgromadził nas niespodziewanie w sali nr 1, tuż przed wyjściem do katedry, okazało się, że należało przećwiczyć zupełnie nieznaną nam utwór, naprędce przezeń skomponowany.

Ubolewaliśmy, gdy profesor przedwcześnie zmarł (14 grudnia 1959 roku); byłem wówczas na V roku studiów. Ilekroć słyszę przepiękny hejnał naszego miasta, „wygrywany” przez trębacza z wieży zegarowej (w pobliżu katedry) lub z wieży ratusza, kieruję wdzięczną i pełną uznania pamięć do mojego profesora – skromnego kapłana, oddanego seminarium dydaktyka i zasłużonego kompozytora.

Po śmierci ks. prof. Starościńskiego zajęcia po nim przejął **pan Zygfryd Koryczan** (1930-1998), organista parafii katedralnej, absolwent Wyższej Szkoły Muzycznej w Katowicach. Uczył nas m.in. poprawnego i dokładnego wykonywania śpiewów przewidzianych dla celebransa Mszy świętej i szafarza sakramentów świętych i sakramentaliów. Był bardzo skrupulatny w realizowaniu programu nauczania, a także niezwykle wymagający. Ilekroć zaś podczas jakiejś celebry Mszy św. czy niesporów klerycy (usytuowani w prezbiterium) usiłowali zmienić nieco tempo wykonywanej części liturgii (najczęściej przyspieszając lub „skracając” niektóre nuty), p. Koryczan, przyciskając odpowiedni register i włączając się do śpiewu, skutecznie „przywoływał” niedokładnych wykonawców do poprawności.

Okresowo, zazwyczaj dwa- trzy razy w roku przybywała do nas z Łodzi **pani prof. Natalia Han-Ilgiewicz**, wybitny psycholog, prowadząc dla nas (na roku czwartym i piątym) zajęcia z psychologii religii. Ta bardzo religijna, wciąż uśmiechnięta, o ujmującej dobroci osoba zapoznawała nas z podstawowymi kwestiami interesującej nas dyscypliny, a ponadto przeprowadzała badania psychologiczne (testowe) poszczególnych alumnów. Niewątpliwie był to „dobry duch” gdy chodzi o całokształt naszej formacji seminaryjnej.

Ks. prof. Tadeusz Żebrowski (ur. 1925), magister nauk humanistycznych i magister teologii, wychowanek Uniwersytetu Jagiellońskiego, zasłużony dyrektor Archiwum Diecezjalnego i długoletni nauczyciel historii w Niższym Seminarium Duchownym, miał z nami zajęcia (na roku VI) z zakresu wybranych zagadnień historii współczesnej. Zarówno wówczas, jak i dzisiaj Książka Kanonik imponuje mi swoją rozległą wiedzą historyczną, szczególnie w odniesieniu do historii Kościoła na Mazowszu. Nie przestaje też być niedościgłym wzorem kapłana.

Także na roku szóstym moim wykładowcą był **ks. prof. Tadeusz Rutowski** (ur. 1929), „małachowiak”, absolwent Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, doktor filozofii, późniejszy długoletni rektor Seminarium Duchownego, najstarszy dziś stażem pracy i wielce zasłużony dla tej uczelni nauczyciel akademicki. Prowadząc zajęcia z historii filozofii najnowszej zapoznawał nas prądami i kierunkami filozoficznymi ostatnich dziesiątków lat. Jak niegdyś, tak i obecnie cenię sobie bardzo kapłańską postawę mojego Kaznodziei prymicyjnego. Dla wszystkich

zaś stanowiących wspólnotę seminaryjną ks. Infulat pozostaje dziś także wzorem godnego przyjmowania cierpienia.

Stroną gospodarczo-ekonomiczną naszego seminarium zajmowali się w moich czasach kleryckich tzw. prokuratorzy (dyrektorzy ds. ekonomicznych). Pierwszym z nich był **ks. prałat Romuald Zawistowski** (1904-1964), pełniący jednocześnie funkcję proboszcza pobliskiej parafii Brwilno. Zawsze uśmiechnięty i życzliwy dla alumnów, krzątał się na co dzień w obejściu seminaryjnym troszcząc się o zagrożony wówczas byt WSD.

Gdy byłem na kursie II (w 1956 roku), z uwagi na poważną chorobę ks. prokuratora Zawistowskiego (pozostawał w seminarium), jego obowiązki przejął najpierw (przejściowo) pełen zapału i energii **ks. Tadeusz Pierchała** (ur. 1924), a potem, we wrześniu następnego roku, **ks. Edmund Roman** (1910-2000), uprzednio proboszcz parafii Chociszewo, niegdyś artylerzysta.

Jako prokurator, któremu wypadło pełnić odpowiedzialny urząd w trudnych dla uczelni czasach, zapisał się ks. Roman (późniejszy kanonik, a następnie prałat) jako dobry gospodarz i administrator. Niezwykle pracowity, oddany bez reszty seminarium, podejmował coraz to nowe inwestycje, wykazując wysokie umiejętności organizacyjne. W sposób szczególny zapamiętałem zainicjowanie i przeprowadzenie przez ks. prokuratora bardzo poważnego przedsięwzięcia, urzeczywistnianego przez wiele miesięcy, które na trwałe przyniosło naszej instytucji nieocenione korzyści. Chodzi o zainstalowanie sieci centralnego ogrzewania we wszystkich gmachach seminarium. Była to praca niezwykle żmudna, od czuliśmy jako niemałą dolegliwość, gdy ciągle w ścianach pomieszczeń wykuwano, to tu, to tam, otwory pod zakładaną instalację grzewczą. Cieszyliśmy się bardzo, gdy prace te zakończyły się, a tym samym nie musieliśmy już rozpalać zimą starych i nie zawsze dobrze funkcjonujących (np. w kaplicy) pieców (trzeba je było usuwać).

U ks. prałata Romana ceniłem także wciąż młodzieńczy entuzjazm, całkowite oddanie Kościołowi i umiłowanie kapłaństwa (w ostatnich latach życia był kapłanem Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia w Białej pod Płockiem).

* * *

Od moich Mistrzów i Nauczycieli seminaryjnych nauczyłem się wiele, zarówno gdy chodzi o przekazywaną mi przez nich fachową wiedzę w zakresie tyłu dyscyplin filozofii i teologii, jak i kształtowanie postawy kapłańskiej. To duże szczęście, że na drodze mojego i moich kolegów życia seminaryjnego pojawili się znakomici kapłani i mądrzy wychowawcy, którzy dobrze, jak się wydaje, wypełnili swoją misję. Pomny tego, co im zawdzięczam, czasu do czasu, w ciągu każdego roku, sprawuję Mszę świętą o wieczny pokój dla nich.

